Nr. 4. Kraków, dnia 15 Lutego 1897. Rocznik II.

Adres
Redakcyi i Administracyi
ulica Floryańska L. 55,
I. piętro.

Wszelkie
listy i przesyłki pieniężne
adresować należy do
Redakcyi lub Administracyi
ulica Floryańska L. 55,
I. piętro.

Rękopisów nie zwraca się.

Listów nieopłaconych nie
przyjmuje się.

Listy reklamacyjne
nieopieczętowane
nie podlegają opłacie
pocztowej.



Prenumerata wynosi:
W Krakowie:
(bez odsyłki)
rocznie . . . 1 złr. 20 c
półrocznie . . — „ 60 „
kwartalnie . . — „ 30 „
W Austryi:
rocznie . . . . 1 złr. 40 ct.
półrocznie . . — „ 70 „
kwartalnie . . — „ 35 „
W Niemczech:
rocznie . . . . . 3 marki.
We Francyi:
rocznie . . . . 5 franków

Numer pojedynczy 5 ct.

Do nabycia w Krakowie w Biurze dzienników Plac Maryacki L. 2.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca

Nasze życie.

Smutna to rzecz i bolesna jątrzyć własne rany, analizować krwawiące serce, a przecież od czasu do czasu musimy to czynić, musimy podumać nad swoim losem, rozpatrzyć swoje położenie. Codzienne nasze życie zmusza nas do ciągłego zastanawiania się, rozmyśliwania. I kiedy tak przypatrujemy mu się zbliska, widzimy okropne rzeczy: nędzę i upadek fizyczny i umysłowy, uciemiężenie i upokorzenie na każdym kroku. Nie chcemy już tu wspominać o materyalnem położeniu, zbyt dobrze jest nam ono znane, zbyt dotkliwie daje się odczuwać każdej chwili.

Ale pomyślmy o umysłowej stronie naszego życia, która przecież u ludzi (a my, kolejarze, jesteśmy nimi bądź-co-bądź) wielką gra rolę. I tu dochodzimy do przekonania, że powodem naszego niskiego stanu umysłowego są wadliwe stosunki naszej służby, jest przedewszystkiem nadmiernie długi czas pracy.

Jesteśmy ludźmi, a więc niby najszlachetniejszem stworzeniem na ziemi, i mamy prawo domagać się, aby się z nami jak z ludźmi obchodzono. Niestety, społeczeństwo kapitalistyczne nie zna ludzi przy pracy. W naszym zawodzie ludzie stokroć gorzej się mają od najzwyklejszych maszyn: maszyny mogą pracować tylko przez pewien czas, potem muszą wypocząć, boby się zniszczyły, zepsuły. Człowiek musi pracować tak długo, jak mu każą, a kiedy upadnie pod ciężarem pracy, to na jego miejsce znajdzie się zaraz inny. I starego zastąpi zaraz młodszy, chorego zdrowy, a umarłego nowy pracownik. Jestto właśnie cała zagadka w tem, że człowiek nic dzisiaj nie kosztuje; maszyny szkoda, bo jak się zepsuje trzeba koszta łożyć na naprawę, na kupienie, nowej. Człowiek choć zginie, to natura stara się już sama o dostarczenie innych.

I tak dochodzi do tego, że my, ludzie, mający przecież nader zawiły organizm, mający czucie, myśli, mniej warci jesteśmy od kawałka żelaza, ulanego w maszynę.

Ażeby podnieść swój umysł, wykształcić go, trzeba na to koniecznie mieć wolny czas, swobodną chwilę. Wtedy dopiero możemy rozwinąć w sobie i uczucia rodzinne i zamiłowanie nauki, piękna przyrody, słowem, wtedy możemy pomyśleć o sobie, o swojej właściwej istocie.

Tymczasem uderzmy się w piersi, Kolejarze, i powiedzmy, czy my możemy mówić wogóle o jakiejś swobodnej chwili? Czy mamy kiedy czas na to, aby korzystać choćby z jednego nabytku nowoczesnej cywilizacyi? Czy możemy poświęcić kilka chwil codziennie rodzinie, czy mamy sposobność użycia świeżego powietrza, podziwiania cudów przyrody? Z pewnością nie!

Tak bowiem jest urządzona nasza służba, że choć w życiu naszem mijamy codziennie najpiękniejsze okolice, o najczystszem powietrzu, nie wolno nam napawać się temi wszystkiemi pięknościami. Dla nas nie istnieje przyroda, możemy podziwiać tylko wnętrza wagonów, urządzenie lokomotyw, najrozmaitsze śruby i przyrządy—tam musi być zwrócone nasze oko. Zamiast świeżego powietrza wdychamy tylko parę i gazy węglowe, które wtłacza nam w piersi ów olbrzym, niosący miliony nienasyconemu bóstwu mamony.

Dla nas nie ma wolnego czasu, nie ma swobodnej chwili. Pod tym względem zarządy wszystkich kolei zrobiły, co tylko mogły zrobić. Toż mamy między kolejarzami ludzi, którzy pracują bez przerwy 24 godzin i więcej! Budnicy, strażnicy i inni biali murzyni, pracujący pośród nas, uginają się poprostu pod olbrzymiem jarzmem pracy. W naszym zawodzie panują w tym kierunku gorsze stosunki, niż wszędzie indziej. Podczas kiedy w innych zawodach czas pracy wynosi przeciętnie 60 godzin tygodniowo, my pracujemy 84 godzin w warsztatach bez dachu, wystawionych na deszcze, śniegi, wichry, skwary słoneczne.

Czyż wobec tego dziwnemby było, gdyby nasz umysł, nasz rozum, wszystkie zdolności stępiały i zanikły? Wszak nam nic innego znać nie wolno, prócz maszyny i—karności, którą nam się ciągle stawia przed oczy, jako coś świętego. A po pracy, ciężkiej i długiej, idziemy spać na kilka godzin, aby, zaledwie wypocząwszy nieco, iść dalej do roboty.

Bo nam nawet spać nie wolno tak, jak innym ludziom. My musimy spać prędko, z szybkością pospiesznego pociągu. Jeśli chcecie być kolejarzami — powiedział jeden naczelnik stacyi — musicie wszystko robić prędko, prędko spać, prędko iść do domu, prędko uczyć się, prędko jeść i — co najważniejsza — prędko powrócić do służby!

Takie to nasze życie: wszystko obraca się około służby; kolejarze — to nie ludzie, to pracujące maszyny! I skutkiem takich stosunków jest naturalnie wczesna śmierć kolejarzy, śmierć na chorobę, która jest tylko zawodową.

I jak długo może jeszcze potrwać taki stan rzeczy? Jak długo będziemy mieli siły do przetrzymania tego wszystkiego? Toż nasze życie, to właściwie śmierć powolna! A na taką chorobę medycyna nie zna lekarstwa. Tu my sami musimy być lekarzami, sami musimy leczyć się z tej „kolejowej choroby.“ A receptą naszą jest iść razem, ramię do ramienia, utworzyć silne, zwarte szeregi—a wówczas powrót do zdrowia nastąpi szybko ku naszej radości, a na smutek i zmartwienie naszych wrogów!

Stosunki na kolei państwowej.

Od kilku lat stale rok rocznie wznawiana prośba służby kolejowej o polepszenie bytu, została, jak dotąd, wcale nie uwzględnioną, ani też nie wzruszyła kolejowych sfer rządowych, które dotychczas nic dobrego dla służby kolejowej nie uczyniły. Słodziutki uśmiech i częste obietnice, które z ust każdego dygnitarza kolejowego tak łatwo słyszeć można, przyjazne klepanie biednych funkcyonaryszów kolejowych po ramieniu, nie nasyciło dotąd żołądków pokrzywdzonych kolejarzy, natomiast przyniosło, już nie wiemy po raz który, straszne rozgoryczenie i niewiarę w tych, od których polepszenie bytu funkcyonaryuszów kolejowych zależy i od których personal kolejowy w ogólności bezzwłocznego polepszenia bytu żądać ma prawo.

W chwili, gdy wskutek najnowszych rozporządzeń guttenbergowskich bez podwyższenia gaży (!!?) liczba złotych kołnierzy na kolejach wzrosła w trójnasób, na stacyi Medyka, dawnej kolei Karola Ludwika a dzisiaj państwowej, zdarzył się fakt, których, jak dotąd, dzięki niezrozumiałej gospodarce, a przedewszystkiem źle zrozumianej i do każdego funkcyonaryusza kolejowego ściśle zastosowanej oszczędności, nie brak nam było. Nie chcąc, aby nas posądzano o złośliwe zamiary lub potwarz, podajemy tylko nagie fakta z tej sprawy, których doniosłość i groza każdego, choćby tylko trochę serca mającego człowieka, do głębi przejąć musi.

Oto fakta:

Młody, 30-letni człowiek, od dwóch lat urzędnik ruchu, telegrafista i kasyer w jednej osobie na stacyi Medyka, pełnił swe obowiązki pilnie i uczciwie przez długi czas, za którą to czynność pobierał 500 złr. rocznej gaży, czyli 41 złr. 50 ct. miesięcznie! Stosownie do przyjętych zwyczajów i praktyk na kolejach państwowych, oddawna zaprowadzonych, miał ów „pan urzędnik“, jak wielu innych, „Abzugi“ za sprawiony w zakładzie uniformowym mundur kilkadziesiąt złr., dalej opłatę stęplową od dekretu, „Abzug“ na fundusz emerytalny i fundusz lekarski, wreszcie kary, od których, przy istniejących stosunkach gwałtów i samowoli, żaden kolejarz ochronić się nie jest w stanie,

Gerhart Hauptmann.

DRÓŻNIK THIEL.

(Ciąg dalszy).

Cała osada przywykła go tu widzieć, ilekroć pogoda była trochę tylko znośniejsza; dzieci szczególniej były do niego przywiązane, zwały go „dziadziem Thielem“ i uczyły się od niego różnych gier, które jeszcze z czasów swojej młodości pamiętał. Najlepszą jednak część swoich wspomnień chował dla Tobiaszka: wycinał mu strzały, które biegły wyżej, aniżeli strzały innych chłopców, z brzeziny strugał mu fujarki, a nieraz śpiewał nawet surowym basem swoim pieśń wojenną, z cicha uderzając rogową rączką scyzoryka o korę fujarki.

Ludzie za złe mu brali te figle, nie pojmując, jak ze smarkaczami tyle czasu mógł spędzać. Właściwie jednak powinni byli być z tego zadowoleni, bo dzieci pod jego dozorem zupełnie były bezpieczne, nadto zaś Thiel zajmował je też rzeczami poważnemi: starszych z zadań szkolnych przesłuchiwał, pomagał im przy uczeniu się wierszy z Biblii lub psałterza, a z malcami sylabizował: „a“ „b“—„ab“, „d“ „o“—„do“ i tak dalej.

Po obiedzie dróżnik zdrzemnął się powtórnie: potem wypił pobiedną kawę i zaczął czynić przygotowania do wyjścia na służbę. Jak na wszystkie czynności, tak i na tę dużo potrzebował czasu; zawsze w tym samym porządku wędrowały przedmioty, starannie rozłożone na małej orzechowej komódce, a więc: nóż, notes, grzebień, zegarek w futeraliku — do kieszeni jego ubrania. Małą, w czerwony papier oprawną książeczkę otaczał szczególną pieczołowitością, kładąc ją na noc pod poduszkę, a nosząc dniem na piersi, w kieszeni munduru. Na etykiecie, pod okładką widniał niedołężny, ale ozdobny napis, ręką Thiela złożony: „Książeczka oszczędności Tobiasza Thiela.“

Zegar ścienny, o długiem wahadle, i wyżółkłym cyferblacie, wskazywał trzy kwadranse na piątą, gdy Thiel odszedł. Maleńkim, własnem czółnem przeprawił się przez rzekę. Na brzegu stawał kilka razy, nadsłuchując w stronę osady. Wreszcie skręcił w szeroką drogę leśną, a po krótkim czasie był już w pośrodku głośno szumiącej gęstwiny sosnowej, która bezmiarem igieł swoich podobną była do czarno-zielonego, kłębiącego się morza. Bez szelestu, jakby po pilśniu, stąpał po wilgotnym mchu i igłach na ziemi rozrzuconych. Znał drogę, nie patrząc, tu — poprzez rdzawo-brunatne słupy boru, tam dalej przez gęsto stojący młododrzew, dalej jeszcze przez rozległe zagajniki, leżące w cieniu kilku wysokich, smukłych sosen, które zachowano tu dla ochrony zwierzyny. Niebieskawy, przejrzysty, rożnemi zapachami przesycony opar unosił się z ziemi, zamazując kształty drzew. Ciężkie, mleczne niebo zawisło nisko ponad wierzchołkami, wrony rojnie kąpały się jakby w szarzyźnie powietrza, kracząc bezprzestannie; czarne kałuże wypełniały wgłębienia na drodze, odbijając chmurną naturę jeszcze chmurniej.

— Straszny czas — pomyślał Thiel, budząc się z głębokiej zadumy, spojrzawszy w górę.

Nagle jednak myśl jego zwróciła się gdzieindziej; czuł niewyraźnie, że zapomnieć musiał czegoś w domu i istotnie, przeszukując kieszenie, nie znalazł chleba z masłem, który z powodu długo trwającej służby zawsze zabierał. Przez chwilę wahał się, poczem odwrócił się szybko i pośpieszył w stronę wioski.

Wkrótce był już przy rzece, kilku silnemi uderzeniami wiosła przybił do przeciwległego brzegu i spocony na całem ciele wszedł na lekko wznoszącą się drogę wioskową. Stary, zniszczony pudel kramarza leżał w pośrodku ścieżki, na płocie jakiegoś dworku siedziała wrona, rozwinęła skrzydła, otrząsnęła się, kiwnęła główką, wyrzuciła z siebie rozdzierające uszy „kra“, „kra“ i wzniosła się świszczącym lotem, pędząc za wiatrem w kierunku ku lasowi.

Z mieszkańców małej osady, a więc z dwudziestu może rybaków i drwalów z rodzinami, nikogo widać nie było.

Odgłos jakiegoś piskliwego głosu wpadł w tę ciszę tak dobitnie i zgrzytliwie, że dró-

czyli jednem słowem tego dobrego było zanadto, aż wreszcie wspomniany urzędnik zamiast należących mu się 41 złr. 50 ct., które za swą 360-godzinną miesięcznie umysłową i fizyczną pracę do rąk własnych miał dostać, w rzeczywistości pobierał nie więcej jak dwadzieścia trzy złr., z których sam siebie i żonę przez dni 31 utrzymywać musiał. Nie trzeba jednak zapomnieć i o tem, że urzędnik ów, który, jak każdy przyzwoity człowiek, potrzebował niekiedy sprawić ubranie, bieliznę i obuwie dla dwojga osób, zaś od czasu do czasu i papierosa zapalić, a tu jak na złość 23 złr., które gotówką na miesiąc od Zarządu kolejowego pobierał, nawet na najniezbędniejsze potrzeby do utrzymania życia i pielęgnowania zdrowia konieczne rzeczy wystarczyć nie mogły. Jak zwykle na świecie się dzieje, iż „syty głodnemu nie wierzy“, albo „Gelegenheit macht Diebe“, tak i tutaj nikt o głodomora w randze asystenta kolejowego się nie troszczył, pozostawiając go zresztą, jak wielu innych, samemu sobie, lub też opiece „Opatrzności“.

Tak rzeczy stały przez długie miesiące zimowe i letnie, aż gdy wreszcie ogromny brak wszystkiego nędzarzom się dawał we znaki, zrozpaczony asystent kolejowy nie widząc już dla siebie żadnego sposobu wyjścia, a życie praw swoich domagać się nie przestawało, począł powoli dopuszczać się malwersacyi kuponów pakunkowych (czego nikt chyba nie pochwala), a to w ten sposób, że oryginał kuponu na małą, duplikat zaś na właściwą wystawiał kwotę, zaś ztąd wynikłą różnicę pozostawiał sobie i tem potrzeby życia łatał. Sposób takiej „samopomocy“ nie długo się udał, po kilku bowiem drobnych sprzeniewierzeniach został odkryty, a cała ta „manipulacya“ w sposób dobitny odkrytą została. Przeprowadzone śledztwo dyscyplinarne wykazało całą ohydę postępku urzędnika, którego też ze służby kolejowej zupełnie wydalono, przeciw czemu niebyśmy nie mieli, gdyby nie pewne „ale“.

C. k. zarządy kolejowe wiedzą aż nadto dobrze o tem, iż bez pomocy urzędników i sług wszelkiej kategoryi obejść się nie potrafią, mimo to jednak nie troszczą się o to, czy ten urzędnik lub sługa z wyznaczonej im gaży wyżyć są w stanie, czy godność urzędową z próżnym żołądkiem, połatanem ubraniem i bez podeszew obuwiem zachować potrafią, i czy służba, która im powierzoną została, na tem nic nie ucierpi. O tem zarządy kolejowe nie chcą nic wiedzieć. Im chodzi tylko jedynie o wyzysk pracy ludzkiej, a nie o bezpieczeństwo publiczne, które tak okropnie co chwila na kolejach państwowych w Galicyi, a w szczególności, jak to już nieraz podnosiliśmy, zdarzają się w dyrekcyach stanisławowskiej i lwowskiej, a życie i mienie ludzkie jest na tych kolejach wprost zagrożone. Zarządom kolejowym nie chodzi o to, kto, gdzie i jak służbę ruchu, telegraficzną, kasową, komercyalną, konserwacyjną, lub też magazynową spełnia, byleby za to wcale nie, lub też mało co za wykonanie tej służby dotyczącemu funkcyonaryuszowi zapłacić. Urzędnik za 500 złr., sługa za 350 złr. rocznej gaży, tożto dopiero rozkoszne prowadzą życie w ciężkiej służbie kolejowej, gdzie nietylko w dzień, ale i w nocy pracować, a tem samem i jeść muszą.

Do czego doprowadza oszczędność na kolejach państwowych i jak lekkomyślnie bezpieczeństwo publiczne jest traktowane, niechaj wystarczy dowód i fakt autentyczny, iż n. p. w krakowskim okręgu dyrekcyjnym na stacyach: Trzciana, Sędziszów, Ropczyce, Biadoliny, Limanowa i wielu innych, pełnią służbę ruchu nie urzędnicy, lecz zwyczajni robotnicy, ustrojeni w niebieskie uniformy i czerwone czapki, a którzy szumnie „Stations Aufseherami“, lub też „Stations-Aushilf-Gehülfe“ tytułowani bywają. I taki to robotnik stacyjny, często może o dziennych 60 ct. płacy, gra rolę urzędnika ruchu, przynosząc kolejom państwowym, oprócz świetnego oszczędnościowego zysku, wstyd, choćby dlatego tylko, że takiego w niebieskiej liberyi, jedną „śterną“ na kołnierzu odznaczonego robotnika za niby rzeczywistego urzędnika ruchu nawet wyższa służba kolejowa na seryo nie traktuje, przez co tracą na powadze urzędowej ci urzędnicy, którzy długie lata na nauce trawili i nie jeden worek kaszy rodzicielskiej skonsumowali.

To jednak nie przeszkadza panu Guttenbergowi wydawać „ukazów oszczędnościowych“, przystrajać urzędników z pensyą 1600 złr. aw. w złote kołnierze, by blaskiem złotego kołnierza zaćmić głód i nędzę tych, którzy w niebieskiej liberyi na ich błyszczące złoto pracują.

Jak z jednej, roztropna i wyrozumiała oszczędność jest cnotą, tak z drugiej strony samowolna i lekkomyślna rozrzutność jest strasznym występkiem. Takich występków dopuszczają się szefowie poszczególnych oddziałów dyrekcyjnych, a już chyba najwięcej w krakowskiej dyrekcyi pan nadinspektor Łopuszański, który całą sforę swych urzędników wypuszcza na przestrzeń po to tylko, by służbę pociągową, gdzie mogą, maltretowali i całe foliały „Strafanzeige“ na biednych pseudo-przestępców kolejowych wypisać i dotkliwe kary nakładać mogli. Niezbyt dawno temu, z okazyi, że podurzędnik Sch. swemu przyjacielowi jakąś drobną przysługę w służbie uczynił, wypuścił Łopuszański cały swój batalion urzędowy, przeszło z 60 urzędników mniejszych i większych się składający, na linie, w celu urządzenia obławy na konduktorów. Płacono im fiakry, do podjazdów służące, na dość odległe stacye, od Krakowa położone, trzymano ich przez kilka dni poza obrębem Krakowa, płacąc tropicielom dyrekcyjnym wysoko oznaczone dyety dzienne, a to wszystko dlatego, by oszczędności stało się zadość. Swoją drogą cała sfora gończych nic nie chwyciła, wróciwszy do swego pana ze zwieszonymi łbami, bez zdobyczy, z nowemi natomiast planami na przyszłość, które, jak sądzimy, w najnowszych ukazach dyrekcyjnych wkrótce wydane zostaną.

Na zakończenie opowiemy jeszcze jeden sposób fabrykowania dyet urzędniczych, którzy za nie grube tysiące miesięcznie z kas kolejowych pobierają. Oto uroiło się łapownikom w głowie, iż podróżni, jadący n. p. z Bochni do Krakowa, kupują bilety tylko do Podłęża i z temiż, bez zwrócenia uwagi konduktorów, jadą wprost do Krakowa. Nie potrzeba dowodzić, że pomysł ten jest płodem półgłówków, w których kolej państwowa tak bardzo obfituje, a sam w sobie nie ma najmniejszej racyi bytu, ani żadnej podstawy. Bajeczka ta zmusiła dyrekcyę krakowską do urządzenia ściślejszych kontroli i wskutek tychże nie ma dnia ani pociągu, w którymby maltretacya podróżnych nie miała miejsca. Za to p. urzędnicy dyrekcyjni, jak Mayer, Łukasiewicz, Malik i im podobni fabrykują sobie dyety w ten sposób, iż wyjeżdżają na przestrzeń z Krakowa pociągiem Nr. 17 o godz. 6·35 wieczorem, a wracają do Krakowa pociągiem Nr. 12 o godz. 4·56 rano i już dyety ciężko zapracowane siedzą w ich kieszeniach, za które p. Mayer zjada dobre śniadanka u Turlińskiego i Knorka, bo lekko zapracowany pieniądz lekko się także przepuszcza.

Do tej sprawy wkrótce powrócimy jeszcze i wykażemy, ile tysięcy rocznie kosztują administracyę kolejową bezpodstawne szykany służby kolejowej i ilu próżniaków i lizunów żyje z tego powodu bez troski.

PRZEGLĄD.

Trzy tygodnie dzielą nas od rozstrzygającej chwili wyborów. Towarzysze! Kolejarze! Pamiętajcie, co jest waszą powinnością! Gdzie jeszcze trwa czas reklamacyj, tam wnoście je jak najszybciej i nie ustąpcie, aż będą załatwione. Nie zapomnijcie, że na każdym kroku możecie wiele zrobić dla sprawy, za którą już tak długo walczymy. Słowem, czy pismem, starajcie się przekonywać omamionych, oświecić ciemnych, przysparzać zwolenników naszym kandydatom! Nasza walka wyborcza, to nie walka o mandaty, nie walka o głosy, ale walka ideowa, walka w obronie zasad i naszego programu! Dlatego, towarzysze, nie zrażajcie się, choćbyście widzieli, że gdzieś kandydat nasz nie przejdzie. To Was bynajmniej nie uwalnia od pracy, od agitacyi! Choć kandydat polegnie, to przez to nie upadnie sprawa nasza. Przeciwnie, każde niepowodzenie powinno i musi być dla nas bodźcem do tem energiczniejszej walki. Dlatego, Koledzy, do pracy, do agitacyi! A kiedy po wyborach będziemy liczyć zwycięstwa, wówczas z dumą zawołamy na cały świat:

Niech żyje socyalna demokracya!

Obrady Sejmu galicyjskiego toczą się bardzo nudnie i ospale. Brak w nich krwi, brak życia, myśli, brak wszystkiego, co niezbędnem jest do utworzenia żywego ciała. Już rzeczywiście sama większość sejmowa musi odczuwać brak porządnej opozycyi. Oprócz 3 wątpliwych dosyć radykałów ruskich, pozostaje jeszcze kilku „ludowców“, wybranych przecież pod hasłem opozycyi i obrony interesów ludowych. Tymczasem ta „opozycya“ ciągle kłania się i łasi i prawi o jedności i zgodzie ze stańczykami. — I tak wlecze się dzień za dniem: uchwala się ustawę drogową, uchwala się budżet i wiele innych rzeczy, a tylko czasami, jakby dla pozoru, toczy się żywsza dyskusya. Sejm galicyjski doprasza się niejako sam jednego choćby dzielnego socyalisty, któryby tę stojącą wodę poruszył i z leniwej rzeczki zrobił wartki, rwący potok...

„Ludowcy“ galicyjscy kierują się coraz bardziej na prawo. Niedawna „partya przewrotu“, wyklinana przez stańczyków i księży, teraz coraz częściej kadzi szlachcie, zasiadającej w Sejmie, i wzdycha do „zgody i jedności ze wszystkiemi stanami“. Dr Bernadzikowski prosi o pomoc przeciwko „stronnictwu przewrotu“, socyalnej demokracyi. Poseł Bojko, nieśmiało i przepraszając przedtem sto razy, ośmiela się podnosić delikatne jakieś zarzuty przeciwko rządzącej klice. Poseł Wójcik wzywa szlachtę na miłość boską o trochę tylko względów, i przyrzeka, że wówczas „znikną odrazu wszystkie waśnie społeczne“, — i t. d. i t. d. Do tego wszystkiego dołącza się wiadomość, podawana przez niektóre pisma, że hr Badeni układa się z „ludowcami“ i przyrzeka im 10 mandatów, żądając w zamian schowania do reszty pazurów. Bardzo być może, że i to prawda, — z opozycyjnej partyi „ludowców“ stanie się wkrótce potulna partya rządowa.

„Flugrad“, organ niezależnych urzędników, podurzędników i urzęd. pomocn., wzywa wszystkich urzędników kolejowych, aby głosowali w V. kuryi za kandydatem robotniczym. „Jestto jedyna partya“ — mówi „Flugrad“ — „która staje szczerze w obronie robotników, którymi

---

żnik mimowoli biedz przestał. Potok gwałtownie wyrzucanych, przykrych dźwięków odbił się o jego uszy; dźwięki te zdawały się płynąć z otwartego okna pewnego niskiego domku, który znał aż nadto dobrze.

Tłumiąc szelest swoich kroków, przysunął się bliżej i wyraźnie już poznał głos żony. Jeszcze trochę bliżej — a słyszał wyraźnie wszystkie prawie jej słowa.

— Ty łotrze, bez litości, bez serca, więc ten nędzny robaczek płuca ma sobie wykrzyczeć z głodu? co? No, poczekaj, poczekaj, nauczę ja ciebie uważać! Popamiętasz!

Przez kilka chwil było cicho, potem rozległo się coś, jakby trzepanie ubrania, poczem bezpośrednio spadł znowu grad wymysłów.

— Ty nędzny smarkaczu — zagrzmiało znowu w najszybszem tempie, — myślisz, że rodzonemu dziecku dam się zagłodzić dla takiej, jak ty, szmaty! Milcz! — zahuczała, gdy rozległo się ciche jęczenie — albo dostaniesz porcyę, która ci na tydzień starczy!

Jęczenie nie cichło.

Dróżnik czuł, jak serce bije mu ciężkiem, nierównem tętnem; drżał, patrzał jakby nieprzytomnie w ziemię, ciężka, twarda dłoń odgarnęła kilkakrotnie pasmo mokrych włosów, które wciąż znowu spadało na czoło, piegami pokryte.

Przez chwilę zdawał się tracić nad sobą panowanie. Był to kurcz, w którym nabrzmiały mu żyły, a palce rąk w pięści się zwarły. Minęło — i pozostało tylko tępe znużenie.

Niepewnym krokiem wszedł w ciasny, cegłą wyłożony przedsionek, ciężko, zwolna wspinał się po skrzypiących schodach.

— Pfu, pfu, pfu! — wszczęło się znowu; przytem słychać było, jak ktoś splunął trzy razy z wszystkiemi oznakami wściekłości i pogardy. „Ty nędzny, podły, podstępny, fałszywy, tchórzliwy basałyku!“ Słowa następowały po sobie *crescendo*, głos zaś, który je wyrzucał, urywał się czasem z wysiłku. „Mojego chłopca bić chcesz, co? Ty nędzniku jakiś, odważysz się bić biedne, bezradne dziecko po twarzy? co? Rąk sobie nie chcę plamić na tobie, bo inaczej...“

Tejże chwili Thiel otworzył drzwi pokoju, wskutek czego koniec rozpoczętego zdania uwiązł przestraszonej kobiecie w gardle. Była kredowo-blada z gniewu, wargi drżały jej złośliwie, podniosła prawą rękę, opuściła ją, chwyciła garnek z mlekiem, usiłując napełnić niem flaszeczkę. Czynności tej zaniechała jednak, ponieważ większa część mleka przelewała się po szyjce na stół, bezprzytomna prawie ze wzburzenia porywała to jeden przedmiot, to drugi, nie będąc w stanie trzymać go dłużej, niż przez chwil kilka, wreszcie opanowała się o tyle, że gwałtownie zwróciła się do męża: co to znaczy właściwie, że o tak niezwykłej porze do domu wraca, czy może chce ją szpiegować, „tego tylko brak jeszcze,“ mówiła i zaraz, że ma czyste sumienie i przed nikim oczu spuszczać nie potrzebuje.

Thiel prawie słów jej nie słyszał; w przelocie rzucił okiem na płaczącego Tobiaszka, przez chwilę zdawało się, jakby siłą woli tłumił w sobie coś strasznego, poczem na zmęczonych rysach legł dawny, flegmatyczny spokój, dziwnie przez ukradkowy, pożądliwy błysk źrenic ożywiony. Spojrzenie jego przelotnie zatrzymało się na silnych kształtach żony, która, krzątając się, z twarzą odwróconą, jeszcze przyjść do siebie nie mogła. Pełne, półobnażone piersi jej wzdymały się ze wzburzenia, jak gdyby rozsadzić miały gorset, podkasane spódnice szerzej zakreślały biodra. Od kobiety tej szła jakaś siła, którą opanować było niepodobna, przed którą ujść nie było można, a wobec której Thiel czuł się bezwładnym.

Uczucie to opasywało go lekko, niby cienka przędza pajęcza, a jednak silnie, jak gdyby żelazna siatka, więziło go, pokonywało, ubezwładniało. W tym stanie wogóle ani słowa przemówićby do niej nie mógł, tem mniej zdołałby się zdobyć na słowo twarde. Tobiaszek tedy, we łzach skąpany, w kącie ukryty, widzieć musiał, jak ojciec, nie obejrzawszy się nawet za nim, zapomnianą kromkę chleba z ławki koło pieca zabrał, na chleb ten, zamiast jakiegokolwiek wyjaśnienia, matce wskazał i kiwnąwszy krótko, w roztargnieniu głową, natychmiast się znowu oddalił. D. c. n.

przecież i my, urzędnicy, jesteśmy". Takie rozsądne stanowisko wiedeńskich urzędników zasługuje na wszelkie uznanie. Kiedyż i nasi urzędnicy ockną się z uśpienia i zrozumieją tę prostą a wielką prawdę, wyrażoną w powyższych słowach tego pisma?...

Niemieccy socyalni demokraci zaprotestowali przeciwko uchwale berlińskiej rady miejskiej, aby wydać broszurę na cześć cesarza Wilhelma I., i rozdać ją dziatwie szkolnej. Socyaliści wyrażają zdanie, że broszura taka nie może zawierać prawdziwego opisu działalności cesarza Wilhelma, ale musi go sławić i wychwalać. Dlatego oni w imieniu ludu niemieckiego protestują przeciwko podobnemu uczczeniu pamięci zmarłego cesarza. Większość radnych przyjęła z ogromnem oburzeniem to oświadczenie socyalistów, które oni uważają za brak patryotyzmu. Naturalnie, że rada wyda przeznaczone na to 20.000 marek i za pieniądze ludu będzie fałszowała opinię publiczną.

Strejk w Hamburgu skończył się, niestety, niepomyślnie dla robotników. Brak silniejszej organizacyi i ściślejszego planu bezrobocia zmusiły robotników do przyjęcia napowrót roboty, pod temi samemi, co przed strejkiem, warunkami. Kapitaliści, związawszy się silnie, odnieśli zwycięstwo, — ale możemy powiedzieć śmiało, że to zwycięstwo jest tylko chwilowem i pozornem. Jest bowiem jedna wielka, niezaprzeczona korzyść dla robotników, że strejk ten wniósł pomiędzy nich świadomość klasową i poczucie konieczności silnej organizacyi. Można być pewnym, że już nie potrafi wykorzenić z pośród nich socyalizmu... A przytem sam strejk, prawdziwie bohaterskie zachowywanie się strejkujących, będzie zawsze chlubą dla całej klasy robotniczej w Niemczech.

Pod pręgierz.

Kraków. (Dwa przykłady). Bremzer Matys, 68-letni starzec, służy już 37 lat przy kolei i pobiera dotąd tylko 90 ct. dziennie! Z tego ma sam siebie wyżywić i utrzymać kilkoro chorych dzieci! Człowiek ten sterał siły swoje w służbie rządowej: do r. 1860 był w wojsku, gdzie służył lat 12. Później przeniósłszy się do służby kolejowej, doszedł, jako do szczytu — do 90 ct. dziennej pensyi! Tak dba państwo o tych, którzy mu całe życie poświęcili. — A drugi przykład przeciwnie wskazuje, że lepiej jest — mieć za sobą silne plecy. Pewien konduktor miał być przeniesionym z „personki" do towarowego. Znalazł jednak w dyrekcyi znajomego manipulanta, który postarał się o zniesienie rozkazu. — Piękne stosunki!...

Kraków. (Z kolei północnej). Smutny nad wyraz los szyberów kolei północnej nie polepszył się ani trochę. Pełnią oni służbę swą ciężką dwa razy po 12, a trzeci raz 24 godzin bez przerwy. Za to pobierają 80 ct. dziennej płacy. Największym barbaryzmem jest wzbranianie tym ludziom jadania obiadów, choćby dorywczo, a jeśli który chyłkiem pozwoli sobie na podobny zbytek, zostaje natychmiast w bezczelny sposób przez urzędnika Bergera skazany na karę pieniężną. Kary te dochodzą już do pokaźnej wysokości. Od dwunastu lat ust. przem. zapewnia robotnikowi przynajmniej jednogodzinną pauzę obiadową, to jednak nie obchodzi wcale wypasłych akcyonaryuszów, drwią sobie wprost z każdej ustawy, któraby ich ograniczała w najbardziej wstrętnym wyzysku.

Obowiązkiem p. nadinspektora przemysłowego, Nawratila, powinno być, aby w sprawie tej poczynił odpowiednie przedstawienia, gdzie należy, i w ten sposób umożliwił tym ludziom spożycie ciepłej strawy, której obecnie są pozbawieni.

Podgórze-Płaszów. Wiadoma rzecz, że wszędzie w służbie rządowej protekcya gra rolę niepoślednią, jest tym czynnikiem, który sam jedynie orzeka o przyszłości i karyerze zatrudnionych w tej służbie ludzi. Ale dzieją się czasem z tą protekcyą rzeczy tak obrzydliwe, że zasługują na osobne i stanowcze napiętnowanie. — Niedawno zasuspendowano u nas dwóch konduktorów i jednego zugsführera za to, że dopuścili się w służbie jakiegoś sprzeniewierzenia. Było już z nimi bardzo krucho — ale kto umie się płaszczyć, ten zawsze jakoś wyjdzie cało. Postarali się oni o protekcyę do „surowego" p. Kolosvary'ego i dokazali tyle, że suspendacya została zniesioną. Zugsfürera przeznaczono do manipulacyi, a tamtych dwóch na bremzę, bo dyrekcya zakazała surowo używać ich do jakiej innej roboty. Tymczasem jeden z nich tak długo biegał, giął kark i kłaniał się, aż przydzielono go do manipulacyi, a ściągnięto od niej uczciwego robotnika, ojca rodziny, który od dłuższego czasu uczciwie pracuje na kolei! Aby mu osłodzić tę pigułkę, przyrzeczono mu, że będzie się zmieniał z innym, młodszym robotnikiem w ten sposób, że jeden miesiąc będzie przy manipulacyi, drugi przy bremzie. Ale oto nie minął nawet miesiąc, a już drugi z owych „uczciwych" konduktorów otrzymał miejsce przy manipulacyi, tych zaś obu, którzy się niby mieli zmieniać, przydzielono do bremzy. I taka sprawiedliwość panuje w naszej dyrekcyi! Uczciwość i gorliwa praca nic tu nie znaczą — trzeba się tylko kłaniać, lizać łapy rozmaitych osobistości, to można i kraść i rozbijać, a zawsze będzie się miało dobrze. To jest ta moralna nauka, jaką można wyciągnąć z takiego postępowania p. Kolosvarego.

Oświęcim. („Wagmajster" Piecuch). Naczelnik stacyi oświęcimskiej ma swego „zaufanego" w osobie niejakiego Piecucha, pierwszego huncwota na całej naszej stacyi. Ufny w szczególną opiekę naczelnika, Piecuch tyranizuje poprostu całą służbę: sam nic nie robi, a na innych zwala całą robotę, sobie przeznaczoną. Kto nie uważa za stosowne zalewać za ciężko zapracowany grosz piecuchowskiego gardła, ten musi być przygotowanym na ciągłe szykany z jego strony, ciągłe sekatury i przeszpiegi. Cała służba tego panka polega na wystawaniu przed restauracyą i wyczekiwaniu, czy mu jaki żyd, mający interes do naczelnika, nie wsunie łapówki. Upiwszy się zaś porządnie, przywleka się na noc do budki którego strażnika i tu przesypia noce, zamiast, żeby miał pracować. Naturalnie, że wówczas całą jego robotę musi wykonać ten strażnik, a p. Piecuch bierze za to pieniądze. Nikt z nas nie ośmieliłby się donieść o tem p. naczelnikowi, bo przedewszystkiem naczelnik nie uwierzyłby temu, a powtóre, p. Piecuch mógłby się potem mścić straszliwie. I tak jeden taki hajdamaka trzyma nas wszystkich w swojej mocy, dzięki protekcyi naczelnika. — Prosimy zatem p. kontrolora i p. naczelnika, aby nareszcie wglądnęli w postępowanie Piecucha i uwolnili nas od tego natrętnego indywiduum. Przykroby nam bowiem było, gdybyśmy sami musieli sobie zrobić sprawiedliwość....

Tuchów. Do Szanownej Redakcyi „Kuryera Kolejowego" w Krakowie. Na podstawie § 19 ust. prasowej zechce Szanowna Redakcya następujące sprostowanie w piśmie swojem zamieścić: W numerze 3 „Kuryera Kolejowego" z dnia 18 lutego b. r. w korespondencyi z Tuchowa, wyczytałem: „Dla spisania protokołu przybył z Krakowa p. Sosnowski, wobec którego zasuspendowany strażnik podał najrozmaitsze wybryki i nadużycia naczelnika, które wykrywają wiele brudnych spraw i t. d." Otóż oświadczam, jako naczelnik stacyi w Tuchowie, że przypisywane mi wybryki i nadużycia są wymysłem korespondenta. Sprawa suspendowanego strażnika jest przedmiotem dochodzenia władzy przełożonej, zaś „rzekome" nadużycia osób innych przedmiotem dochodzenia sądowego.

Z poważaniem *Stanisław Kowalski.*

Rzeszów. (Sumienność lekarza kolejowego). Smutny to rzeczywiście objaw, że ludzie, których rząd dał nam dla pilnowania naszego zdrowia, postępują z nami tak, jak najwięksi wrogowie. Świeży dowód mamy w tutejszym lekarzu, drze Fiałkowskim. Wezwany do chorej żony jednego z konduktorów, skonstatował 40-stopniową gorączkę, i — poszedł. Napróżno czekano na niego kilka dni następnych; lekarz nie zjawił się, boć przecież było jego obowiązkiem odwiedzić tak ciężko chorą. Kiedy nareszcie mąż chorej poszedł do niego i pytał się, dlaczego nie był łaskaw przybyć do żony, dr. Fiałkowski odrzekł, że to nie jest jego obowiązkiem, że mąż powinien był go zawezwać itd. Na drugi dzień konduktorów, widząc pogarszający się stan choroby, udał się do lekarza z prośbą o zapisanie jakiego lekarstwa i odwiedzenie chorej. Pan doktor zapisał rycinus (!) a do chorej pójść nie chciał, bo — mówił — nie potrzeba. Tak więc raz nie przyszedł, bo nie był wezwany, drugi raz uważał to za zbyteczne, chociaż chorej było gorzej. Tak nam na każdym kroku zawracają głowę i drwią z nas nietylko doktorzy, ale ci wszyscy inni urzędnicy, przeznaczeni na pomaganie nam. Cóż my mamy wobec tego robić? Nadchodzi dla nas teraz chwila, w której sobie pomódz możemy. Połączmy się mianowicie z partyą robotniczą, głosujmy na ich kandydatów, a kiedy będziemy mieli w parlamencie posłów, którzy będą nas bronili, wówczas żaden lekarz, ani inny urzędnik nie odważy się nas krzywdzić.

(*F. N.*)

Rzeszów. Jeszcze w grudniu powiedział p. Horoszkiewicz maszyniście Heinowi, „że jak się do jego skóry weźmie, to źle z nim będzie". I rzeczywiście prześladowany jest od tego czasu z bezprzykładną wytrwałością. Kary sypią się na biedaka, jak kije na głodnego psa. Najprzód nałożono na niego karę pieniężną, później obniżono pensyę i przeniesiono do Sącza a obecnie choremu od dwóch tygodni nie wypłaca się wcale pensyi. Nikt nie jest w stanie wytłomaczyć przyczyny tego postępowania, a p. Zborowski twierdził, że Hein „źle się tłomaczył". W dyrekcyi odsyłano go od jednego do drugiego, a wszyscy wzruszają ramionami. Człowiekowi temu wzbrania się wstępu pod różnemi pozorami do radcy Kolosvary'ego, który, przypuszczamy, nic chyba o tem nie wie. Fakt zatem podajemy do jego wiadomości, aby biedaka ochronić przed samowolą urzędników i uwolnić od głodu, na jaki skazany jest przez zatrzymanie pensyi.

Stryj. (Jak postępują z chorymi robotnikami). Nasz p. inspektor Majewski, zasługuje już sobie oddawna na to, aby go podać pod pręgierz całej uczciwej opinii publicznej. Na razie podajemy jeden fakt, świadczący bardzo dobrze o jego ludzkości. Robotnik warsztatów kolejowych, Tańczuk, czując się chorym, udał się do Majewskiego z prośbą o kartkę do doktora. P. inspektor wsiadł zaraz na niego i nuże go łajać i krzyczeć, że to próżniactwo, że „robotnicyby chcieli, żeby im w warsztatach postawić łóżko i dać fajki, a roboty od nich żadnej nie ma". Takie obelgi i kłamstwa płyną z ust p. Majewskiemu bardzo łatwo i szybko miał już bowiem dosyć czasu do ćwiczenia się w tem rzemiośle. Kartkę jednak musiał dać Tańczukowi. Ten poszedł do doktora i pokazało się, że jest rzeczywiście chory, a doktor kazał mu zaraz zaprzestać pracy i pójść do domu. Ale T. obawiał się znowu gniewu p. Majewskiego i nie chcąc się narazić ponownie na grubiaństwa ze strony tego „inteligentnego" inspektora, poszedł znów do warsztatu. Pracował jeszcze kilka dni, i ta praca tak go wyczerpała, że po tych kilku dniach upadł w warsztacie zemdlony. Dopiero ten wypadek poruszył p. Majewskiego i spowodował dla chorego robotnika 6-ciodniowy urlop. Takie wypadki zdarzają się u nas częściej i mimowoli spytać się musimy, czy p. Majewski chce, aby mu robotnicy umierali w warsztatach, będąc zmuszonymi pracować mimo choroby?

Kwiatki stanisławowskie.

Zacierają już może stanisławowscy kumowie ręce z radości, mniemając, że przy dokonanych przesiedleniach służby pociągowej na nowe linie Halicz i Kopeczyńce trafili na korespondenta. Cieszyło ich, gdy dwa numera „Kuryera Kolejowego" o nich nic nie wspominały i zacierając ręce z zadowoleniem myśleli oni, że się już owego „bicza Bożego" raz na zawsze pozbyli — lub może, że mu materyału lub konceptu brakło. By zapobiedz tej niewczesnej radości, chwytam znowu za pióro, które w brudach naszych stosunków służbowych maczać nie przestanę. Drwię sobie zarazem z tej szpiclowskiej zgrai, która przez nieustanne węszenie, ochłapami karmiona, łby potraciła. O ile mi wiadomo, do tej zgrai węszącej należy także już dosyć słynny, 27 lat gorliwie węszący, inspektor policyi stanisławowskiej Zubrzycki, który nie przestaje pono węszyć za owym najniewinniej „kundigowanym" konduktorem, a nawet tą karykaturą porównuje pismo tegoż. O ile nam się zdaje, to używanie podobnej karykatury do śledzenia żadnego skutku nie przyniesie, a owego inspektorzynę znowu na dziesięć dni aresztu narazić może. Mamy bowiem to przekonanie, że owa kreatura była tylko ślepem narzędziem w ręku kumów.

Otóż, by dać dowód, że kacykowskie ramię przy ostatniem przesiedleniu mnie nie dosięgło i że sobie z całej tej zgrai drwię, podaję obrazek kumoterskiej sprawiedliwości. Dla autentyczności przytaczam tu słynny „strafzetel" kuma dwu tytułów radcy dworu Wierzbickiego, który brzmi: „K. k. Staatsbahn-Direction in Stanislau Zl... Stanislau, am 23 September 1896. An den Conducteur N. N. in Stanislau. Fur die Übertretung des Artikels 92 der Instruction XX., bestehend darin, dass der Zug 3180 am 22 August l. J. wahrend der Fahrt von Łojowa nach Nadworna in Folge ungenügender Bedienung der Ihnen zugewiesenen Bremse die normale Fahrzeit um 14 Minuten gekürzt hat, findete die k. k. Staatsbahn-Direction Sie mit einer Geldbusse von öw. Fl. 2 mit dem Bedeuten zu bestrafen, dass constatirte analoge Falle eine viel empfindlichere Ahndung nach sich ziehen mussten. Der k. k. Hofrath u. Staatsbahn-Director *Wierzbicki* m. p.

Aby pojąć sprawiedliwość kumoterską, trzeba wiedzieć, że cała linia woronieńska, począwszy od Woronienki aż do Chryplina, jest spadzistą prócz przestrzeni między Delatynem a Łojową, do której to ostatniej pociąg pnie się do góry. Proszę sobie zatem wyobrazić pociąg towarowy, normalnie obciążony, od Woronienki do Delatyna ciągle z góry hamowany, poczem znowu od Łojowy aż do Chryplina hamulec jest w użyciu. Przypuściwszy ścieranie się hamulców na tak olbrzymiej przestrzeni, tudzież niedostateczność dobrze działających hamulców, które dopiero wtenczas naprawiają, gdy paru klocków brakuje, to cóż winien konduktor za przekroczenie i zmniejszenie czasu biegu pociągu. Trzeba również wiedzieć, że hamulce na owej przestrzeni, gdy pociąg w stacyi stanie, formalnie dymią paląca się z gorąca czarną farbą — która sprawia widok, jak gdyby cały pociąg w ogniu stał. Jakżeż się zatem dyrekcya o winie tych ludzi przekonała — że bremzy odpowiednio nie obsługiwali. Trzeba bowiem wiedzieć, że cała partya wraz z zugsführerem po 2 złr. kary otrzymała, a maszynista 10 złr. Z powodu często zdarzających się wypadków, z których opisany był ostatnim, zarządziła dyrekcya próbę na tejsamej przestrzeni po dwa razy, a wynikiem było to, że próbne z komisyą jadące pociągi, nic nie zważały, tylko stacyę Nadwórnę, bez zatrzymania się, pędem po kilka profilów przejeżdżały. Wobec tego dyrekcya widziała się zmuszoną podnieść procent hamowanego, co też osobnym cyrkularzem uskuteczniła, lecz by swój kumoterski błąd pokryć — niewolników kolejowych, którzy jej ten błąd w tłomaczeniu protokolarnem wytknęli, ukarać nie omieszkała. Tak to u nas w stanisławowskiej dyrekcyi rządzą kumowie na spółkę z żydami, i co oni zawinią, konduktorzy odcierpią. Prawdziwie kumoterska sprawiedliwość.

Już i tak słynny nasz stanisławowski lekarz dr. Czesnak, leczący tylko kapustą i rumiankiem, stał się obecnie propagatorem „flaszeczkowej" oszczędności, którą prawie każdemu pacyentowi przy zapisywaniu i wydawaniu recepty zaleca, by na lekarstwo swoje flaszeczki brać — bo przez to dyrekcya zaoszczędza, a przez oszczędność i dodatki pieniężne się zwiększą, za co żony konduktorów będą po balach chodzić i modnie się ubierać. Co za sens w tem paplaniu kapuściano-rumiankowego lekarza jest zawarty, trudno do-

ciec, chyba, że zaczyna mu trzeciej krokiewki w głowie niedostawać. Nie trzeba na flaszeczkach oszczędzać, bo rok rocznie dyrekcya dotkliwie na naszej skórze oszczędza, a z oszczędności tej padają sute "fischgeldy" etc., a tu i ówdzie wybrańcom i lizuniom rzucona od niechcenia zapomoga tylko rozgoryczenie wśród służby sprawia. Z naszej strony radzilibyśmy drowi Czesnakowi, by się czem innem zajął, t. j. troskliwszą opieką nad tymi niewolnikami, coby mu większy zaszczyt przyniosło, a z których krwawego grosza żyje, bo wątpimy, czyby istniał, gdyby go ci murzyni napędzili!

W dniu 31 stycznia na linii Stanisławów - Lwów nastąpiło wykolejenie się pospiesznego pociągu nr. 302 około przystanku Jamnica, który jest zamknięty i li tylko do celów wojskowych przeznaczony. Przyczyną tego wykolejenia miał być, wedle skonstatowania, odłamek hamulca, który się miał przy przejściu pociągu nr 377 ze Lwowa oderwać i między iglicową szynę a główną szynę wgnieść, iż spowodował odstęp pomiędzy owemi szynami, przez co pociąg pospieszny uległ wykolejeniu i to tak strasznemu, że lokomotywa, oderwana od tendra, w szalonym pędzie zwaliła się z nasypu, grzęznąc całym ciężarem w moczarowatej ziemi. Maszynista Szczerski wraz z palaczem Rybakiem do ostatniej chwili pozostali na maszynie i zostali obydwa silnie potłuczeni. Jako „corpus delicti" tego wypadku jest przechowany (lecz na co?) ów odłamek hamulca, który omal, że nie spowodował coś groźniejszego, — i setki ludzi mógł pozbawić życia. W każdym razie warto zapytać dyrekcyę, kto właściwie jest sprawcą owego wypadku, bo sam rozum dykluje, że przecież niewinny kawałek materyału należałoby było usunąć. Równocześnie należy zapytać, kto miał usunąć ów odłamek? Wszak dyrekcya stanisławowska w pierwszej linii odpowiada za ten wypadek a tem większa wina na nią spada przez to, że z powodu nie ustanowienia nadzoru na tamtejszemi zwrotnicami lekceważy życie służby i setek prywatnysh ludzi. Trudno bowiem przypuścić, by strażnik kolejowy był wstanie po przejściu każdego pociągu badać stan zwrotnic na otwartej linii, tem bardziej, że domek jego znajduje się na znaczniejszej przestrzeni od owego przystanku. Pozostają zatem owe zwrotnice jedynie na łasce bożej. Winną zatem w tym wypadku jest tylko dyrekcya, iż na otwartej linii zwrotnice (mimo, iż one są zamknięte) bez dozoru pozostawia, a dlaczego pozostawia — tego chyba przytaczać nie potrzeba! I całego tego wypadku, mimo iż „corpus delicti" jest w dyrekcyi (lecz nie ów odłamek) wykluwa się jak szydło z worka niedołężna gospodarka na „sparlsystemie" oparta, która owe nieszczęścia u nas powoduje Że „kumom" nie źle się dzieje, to widać na każdem miejscu. Wystarczy tylko spojrzeć po placu w Stanisławowie, a zobaczy się jeszcze niezastygłe kałuże krwi z tych ofiar kacykowskich rządów!

Słynna kreatura Łukasiewicza, byłego adjunkta, urządzającego bezpłatne przedstawienia dawniej podczas podziału służby, nie może zapomniec i odzwyczaić się od tej czynności, przy której najgorszemi słowami miotała i czuje się mimo awansu i przeniesienia go do dyrekcyi za oddane usługi kumom tak przygnębiona i zgryziona, że jego kacapska broda się zwichrzyła, postawa się pochyliła i cała strona umysłowa, zdaje się, uległa nagłemu przewrotowi. Śmiało sądzić można o niej: maluczko, a zobaczycie mię w Kulparkowie! Panisko ów odbywa cztery razy dziennie przechadzkę na stacyę, zawsze o tych godzinach, kiedy się podział odbywa, by tylko wpaść na salę, błysnąć oczami po tablicach i przekonać się, czy jego protegowani hebesi, jeszcze jeżdżą na tych stanowiskach, na które ich jego wszechwładna prawica wyniosła! Po co ów panek błądzi i nos wtyka tam, gdzie od czasu, gdy jego figurka z widowni przedstawień znikła, inne życie i inny podział służby panuje, mimo, iż nim kieruje człowiek na niskim stopniu hierarhii, (urzędnikiem nie jest) kieruje. Widać, że ów amator bezpłatnych przedstawień okropnie się w nich rozmiłował i dziś przeboleć nie może, że go tak nagle z tego stanowiska (cywilizacyę wśród służby szerzącego) usunięto, z czem biedaczysko pogodzić się w żaden sposób nie może. O ile się zdaje, pełni służbę „szpicla", przenosząc wiadomości ze stacyi do dyrekcyi, czyli innemi słowy mówiąc jest chodzącą kurendą. Przypominamy zatem owemu amatorowi bezpłatnych przedstawień, przysłowie: „łaska pańska na pstrym koniu jeździ" — by i jego kiedyś nie minęła, co będzie bardzo bolesnem.

KRONIKA.

Minister Guttenberg został — jak wiadomo — oskarżony przez tow. Tomschika naprzód przed sądem zwykłym, następnie zaś wojskowym. Obecnie otrzymał tow. Tomschik zawiadomienie od sądu wojskowego, że sprawa już przedawniona. W ten sposób pan minister wywinął się od sądu, ale w oczach wszystkich porządnych ludzi dawno już jest osądzony.

Heca z p. Kolosvarym. Pogłoska, którą podaliśmy w zeszłym numerze, jakoby p. Kolosvary chciał kandydować z V. kuryi, okazuje się mylną. P. Kolosvary oświadcza uroczyście we wszystkich pismach, że nigdy takiego zamiaru nie miał i że o kandydaturze nie myśli. Coś tam jednak musiało być w tem, skoro nawet „Czas" donosił o jego kandydaturze i dodawał skromnie, że „gdyby p. Kolosvary był wybrany, złożyłby urząd dyrektora". To doniesienie „Czasu" spowodowało powyższe zaprzeczenie p. Kolosvarego. Bardzo mądrze robi p. Kolosvary: czyż nie lepiej i bezpieczniej i wygodniej siedzieć na urzędzie dyrektora kolejowego (gdzie i pensyjka nie mała i pracy nie dużo), niż puszczać się na burzliwe fale ruchu wyborczego, który takie jednostki, jak p. Kolosvary, zmiata bardzo szybko i nie zostawia im nic, jak tylko tragikomiczną minę upadłego kandydata?...

Restaurator Kozłowski, znany naszym czytelnikom specyalista w dostarczaniu „wybornej" wędzonki w Skawinie, znalazł sposobność do zemsty za piętnowanie jego różnych sprawek w naszem piśmie. Dnia 11 b. m. przemawiał tow. Daszyński na zgromadzeniu wyborców w Skawinie. Postanowił tedy Kozłowski zorganizować szajkę awanturników i na jej czele, wraz z niejakim Ludwikowskim, zgromadzenie rozbić. Jak opętaniec rzucał się i wył tak długo, dopóki nie wpadli żandarmi i zebrania nie rozwiązali. W ten sposób pragnie Kozłowski zaskarbić sobie łaski dyrekcyi, a przynajmniej zatuszować to, coby innemu nigdy nie uszło. Czekać wypada, jak też dyrekcya najświeższe zasługi tego wędzonkarza wynagrodzi.

P. Józef Meltzer prosi nas o zamieszczenie sprostowania, odnoszącego się do artykuliku w poprzednim numerze naszego pisma, w którym piętnowaliśmy karciarnię, jaka ma miejsce w „Czytelni kolejowej". P. Meltzer zaprzecza: 1) jakoby przed dwoma tygodniami, lub kiedykolwiek grał w karty, te bowiem nie są u niego w używaniu; 2) jakoby z „Czytelni" wystąpił, gdyż dopiero w styczniu b. r., „skonstatowawszy kierunek inny pod protektoratem naszych panów dyrektorów, do stowarzyszenia przystąpił". Są to własne słowa p. Meltzera, który z pomocą naszego pisma chciałby się okazać dla dyrekcyi „przyjemnym". Nie o to nam jednak chodzi. Myśmy pisali, że p. Zygmuntowicz zgrawszy się „do nitki" w „Czytelni", wraz z swym szwagrem Meltzerem wystąpili ze stowarzyszenia. Mowa więc była tylko o p. Zygmuntowiczu, który się zgrał, a p. Meltzer, jako krewny p. Zygmuntowicza, oburzony z tego powodu, razem z nim ze stowarzyszenia wystąpił. To, że „obecny kierunek" stow. p. Meltzerowi tak wielce przypada do gustu, jest dla nas rzeczą obojętną — czy jednak obojętnem będzie dla p. Meltzera, gdy mu znowu szwagra w karty obębnią — to inne pytanie.

„Gazeta Wyborcza" wychodzi od 1 lutego i będzie odźwierciadlała dokładnie cały ruch wyborczy. Towarzyszom, którzy chcą poznać dobrze tę ogromną kampanię, polecamy gorąco zaprenumerowanie tego pisma. „Gazeta Wyborcza" jest trzeciem z rzędu pismem politycznem, które obok „Naprzodu" i „Prawa Ludu" będzie organem partyi socyalno-demokratycznej.

Z powodu przeszłorocznego strejku w warsztatach kolejowych w Wiedniu odbyła się przed dwoma tygodniami rozprawa sądowa, która i dla nas nie jest bez interesu. Mianowicie jeden z robotników, który złamał strejk, oskarżył małżeństwo Franciszka i Franciszkę Kasper, że go obrzucili obelgami i przekleństwami, kiedy szedł raz podczas strejku do roboty. W pierwszej instancyi sąd uwolnił oskarżonych, ale prokurator wniósł rekurs i obecnie odbyła się powtórnie rozprawa. Obrońca przedstawił, że złorzeczenie, które Kasprowie rzucali na owego robotnika, nie mogą być uważane zachęć powstrzymania go od pracy; zresztą nie mogło im nawet na tem zależeć, ponieważ wstrzymało się od strejku tak niewielu robotników, że to na jego wynik nie mogło mieć wpływu. Sąd przechylił się do wywodów obrońcy i wyrok uwalniający zatwierdził.

Ubodzy krewni dyrektora kolejowego. Ciekawa rozprawa odbyła się w tych dniach przed sądem wiedeńskim. Oskarżał dyrektor bodenbachskiej kolei Jan Pechal, — oskarżeni byli tokarz Jan Hüttl i jego żona Anna. P. dyrektor oskarżał o to, że Hüttlowie obrazili go, nazywając w otwartych korespondentkach oszustem. Na to oskarżony zaczął opowiadać następującą historyę: Przed kilku laty umarł w Czechach niejaki Wacław Pechal, brat Jana, a stryj oskarżonych, i zapisał im w testamencie 500 złr. Tymczasem wykonawca testamentu, Jan Pechal, wypłacił im tylko 300 złr., powiadając, że jest drugi testament zmarłego, w którym im tenże tylko tyle zapisał. Hüttl jednakże twierdzi, że to nieprawda, zwłaszcza że p. Pechal przyrzekał mu 50 złr. miesięcznie, jeśli tylko weźmie 300 złr. Hüttl zgodził się, tymczasem zacny krewny płacił mu tylko 25 złr., a o tych 200 złr. ani nie wspominał. Stąd te wszystkie nieporozumienia. P. Pechal znowu opowiada, że był zawsze bardzo czuły dla swoich krewnych; raz nawet posłał im przez córkę, kiedy byli słabi, **5 złr.!** (Co za wspaniałomyślność!) Sędzia odroczył rozprawę dla sprawdzenia podanych przez oskarżonego faktów.

Zabawną historyę opowiada wiedeńska „Arbeiter-Zeitung". Oto zdradza ona, że wiedeńscy antysemici zaprosili na bal miejski, ni mniej, ni więcej, tylko—straszna rzecz!—żydów, najprawdziwszych żydów! Naturalnie bogatych, bo biedni zasługują na to — podług zdania antysemitów — aby ich powyrzucać. Okazuje się tu znowu prawdziwa natura antysemityzmu: bogaty żyd znajduje u nich takie same uprzejme przyjęcie, jak bogaty chrześcianin; pieniądz nie zna różnic wyznaniowych, a wyzyskiwacze łączą się zawsze w bratnim uścisku bez względu na wyznanie. I gdyby żydzi byli przyszli na ów bal, widzielibyśmy nader charakterystyczne widowisko: oto antysemici tańczyliby tam w jednej sali balowej z żydami!...

Austryaccy przedsiębiorcy o normalnym czasie pracy. Z powodu prądu, jaki zawiał na chwilę w austryackim parlamencie, podczas ubiegłej sesyi, w celu zniżenia 11-godzinnego dnia roboczego, na 10 godzinny, wystosował „Związek centralny przemysłowców austryackich" zapytanie do swoich członków: Jak się na tę kwestyę zapatrują? Większość odpowiedziała, że jest stanowczo przeciwną wszelkiemu ograniczeniu czasu pracy, gdyż przez to „podwyższają się koszta przedsiębiorstwa, następują straty, a robotnicy nie korzystają z tego, bo tylko więcej przesiadują w szynkach". Tak orzekli ci strasznie mądrzy przemysłowcy Austryi. Byli jednak i tacy, którzy na podstawie własnego doświadczenia przyznawali, że krótszy dzień roboczy nie tylko nie przynosi im straty, ale przeciwnie, daje nawet pewne korzyści. Są to przecież głosy nieliczne, większość fabrykantów stanowi jeszcze ciemną, ograniczoną masę. Tembardziej jasnem jest, że państwo nie powinno zważać na ich zdanie i samo przeprowadzić to, co mu nakazuje jego zadanie społeczne.

Centralny związek niemieckich robotników kolejowych (Zentralverband) powstał w Niemczech. Założenie jego uchwaliły liczne zgromadzenia kolejarzy w całem państwie i jako główne jego zadanie postawiły zdobycie lepszych warunków pracy i płacy dla robotników kolejowych. Jest to naturalnie organizacya socyalno-demokratyczna, to też burżuazyjne pisma niemieckie ze zgrozą piszą o tych strasznych skutkach szerzenia się socyalizmu wśród kolejarzy, które zwłaszcza podczas wojny mogą zagrozić całemu państwu.

Wypoczynek niedzielny przy pociągach towarowych w Niemczech. Półurzędowe oświadczenie powiada, że wypoczynek niedzielny, zaprowadzony dla wielu niemieckich kolei przy ruchu towarowym, nie da się jeszcze tej zimy ustalić z powodu mianowicie, że „ruch tym razem jest większy." A więc właśnie dlatego, że robotnicy mają i tak w zwykły dzień większą robotę, niż zwykle, znosi się wypoczynek niedzielny. W ten sposób robi się coś, co sprzeciwia się najprostszym zasadom zdrowego rozsądku. Austrya nie zna naturalnie również wypoczynku niedzielnego na kolejach. Gdzie tylko jest sposobność do okazania swego zacofania, tam zawsze Niemcy z Austryą idą zgodnie w parze.

Z Berna (w Szwajcaryi) donoszą, że przy północno-zachodniej kolei ma znowu wybuchnąć bezrobocie, ponieważ nie dotrzymuje się przyrzeczeń, danych personalowi przed rokiem.

Bezpłatne grzebanie zwłok w Bernie. Rada miasta Berna w Szwajcaryi uchwaliła bezpłatne grzebanie zmarłych. W ten sposób sprawa została ostatecznie załatwioną po czteroletnich obradach. Uchwała wchodzi w życie 1 lipca 1897 r.

Urzędowe uregulowanie czasu pracy na kolejach angielskich. Biuro urzędowe handlu wydało z końcem zeszłego roku pismo, w którem omawia skargi wniesione z powodu zbyt długiego czasu pracy na kolejach. Do końca czerwca z. r. zbadano razem 325 skarg. W porównaniu z poprzednim rokiem okazuje rok 1894/5 znaczny ubytek skarg. Biuro wyraza zadowolenie z wyników swego dochodzenia: w wielkiej ilości wypadków towarzystwa kolejowe stosowały się do żądań biura, a gdzie był za długi czas pracy, tam już temu zaradzono. Za pośrednictwem biura udało się także uzyskać dla wielu kolejarzy, którzy nawet sami skargi nie wnieśli, lepsze warunki pracy. Kiedyż u nas w Austryi, doczekamy się takich stosunków?..

Miejskie koleje w Anglii. We wrześniu z. r. uchwaliła rada miejska w Nottingham porobić odpowiednie kroki w celu objęcia kolei miejskich pod zarząd miasta. (W Anglii potrzeba do tego uchwały parlamentu). Jako powód tego podaje rada miejska, że prywatne przedsiębiorstwo nie powiększyło od lat 10 wcale sieci linii tramwajowej. Gdzie zaś tramwaje przechodzą w zarząd miasta, tam zniża się cena jazdy i powiększa się sieć. Zresztą znaną jest rzeczą, że w miejskich tramwajach płaca służby jest wyższą i wogóle warunki pracy lepsze. Wobec tego rada gminna w Nottingham powzięła powyższe postanowienie jednogłośnie.

W Calais (we Francyi), gdzie większość rady gminnej jest socyalistyczną, uchwalono obniżyć czas pracy wszystkim miejskim robotnikom z 10 na 8 godzin, nie zniżając przytem wcale dotychczasowej płacy.

Odpowiedzi Redakcyi.

St. M. w Żegiestowie. Faktów o nadużycia, niepatrzonych nazwiskiem i nie potwierdzonych świadkami, z zasady nie zamieszczamy.

Komunikaty.

Związek stow. zawodowych i pomocy kolejarzy i pokrewnych zawodów Austryi Do wszystkich grup miejscowych. Zarządy grup miejscowych uprasza się o odwrotne odsyłanie kwestyonaryuszy, dotyczących kas chorych do sekretaryatu Związku, Wiedeń V/1 Schlossgasse 22, aby mieć przygotowany materyał do ankiety, mającej być w krótkim czasie zwołaną przez rząd.

Dalej upraszamy, aby przy sprawach prawnych nadsyłać dokumenty wraz z legitymacyą, na adres sekretaryatu Związku, nie zaś wprost do adwokata Związku. *Sekretaryat.*

Druk A. Słomskiego w Krakowie. Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tomasz Tokarz.